NUMER 49. DNIA 6-go GRUDNIA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

JULJUSZ PIASECKI.

Z CYKLU: **NA KRESACH.**

Między Kaszubami.

Dzień kwietniowy miał się już ku schyłkowi, kiedy wracałem z góry, na której umieszczona była wieża dla tych, którzyby chcieli oglądać okolicę z wysokości kilkuset metrów. Na siatkówce oka czułem jeszcze ciągle odbicie przepięknego krajobrazu, którego chyba do końca życia nie zapomnę.

W pobliżu, prawie u stóp morza, które rozlewało się za górą szerokich ławic, rozciągała się duża, zielona i kwieciem usłana płachta ziemi. Z wysokości kilkuset metrów zdawać się mogło, że ta płachta ziemi razem z drzewami, pagórkami i tem kwieciem tu i ówdzie rozsianem, wrzynała się niedużemi pasmami w modre, lśniące fale morza. Nagle jeden pas tej zielonej płachty, jakby się urwał i na tem miejscu stanął las świerkowy, cichy, tajemniczy, siedlisko największych misterjów przyrody. U horyzontu morze stopiło się w jedną linję z niebem i ten bezmiar wód i nieba przytłaczał formalnie swoim majestatem. Wobec tego lśniącego i wciąż ruchomego morza, ku któremu skłaniały się w pokorze błękity nieba, malała nawet ogromnie dekoratywna piękność tej zielonej płachty ziemi z przyczepionemi do niej małemi domkami z czerwonej cegły.

Wśród malowniczego klombu krzewów stał biały kościół ze złotą kopułą, nad którą rozstrzelonemi, jak u monstrancji, promieniami, mienił się farbami tęczy w blaskach zachodzącego słońca, duży, złoty krzyż, nasadzany szafirami i rubinami. Za kościołem, w cieniu kilku brzóz, skryły się ruiny dawnego klasztoru Cystersów. A nad tem wszystkiem niebo niezwykle błękitne, miejscami różowe od łuny zachodzącego słońca z seledynowemi obłokami o kształtach bajecznych. Powietrze było ciepłe, zasnute leciuchną, powiewną mgłą woni. Żaden kolor nie kłócił się tu z drugim, ale powoli stapiał się w jeden akord barw.

Wrażenie było silne i zatarło wszystkie smutki, jakie przedtem wsiąkły w moją duszę, kiedy zwiedzając kościół tutejszy i ruiny klasztoru, zestawiałem w duszy błogosławione tutaj ślady Czarnieckich, Batorych, ze śladami zniszczenia, jakie tu zostawiły nowsze stulecia.

Wartko przelewały się tędy odwieczne fale czasu, a każda epoka pozostawiła po sobie widomy znak, którego zniszczenie do krzty zgryść nie mogło.

Zmęczony uciążliwą drogą, pragnąłem spocząć bodaj na przydrożnym kamieniu, gdy naj-

niespodziewaniej ścieżka, którą schodziłem z góry w nizinę, sprowadziła mnie do jakiegoś ogrodu, co przytykał do oberży.

Ledwie usiadłem na najbliższej ławce, zjawił się służący.

Zażądałem po niemiecku szklankę kawy i bułek.

Spojrzał na mnie z uśmiechem i odparł po polsku:

— Służę panu! Zaraz będzie podane.

— Poznałeś we mnie Polaka? A ja sądziłem, że tu nie znajdę polskiej oberży.

— Polaków nie trudno poznać — rzekł służący z uśmiechem.

— Mówią źle po niemiecku, prawda? — spytałem.

— To nie. Ale zupełnie innym akcentem.

Poznam też naszego, bo zawsze grzeczniejszy.

Ukłonił się i odszedł w stronę domu, żeby mi przynieść żądany posiłek.

Upłynęło kilka minut, gdy zjawił się sam gospodarz z tacką w ręku. Ukłonił się z daleka, postawił przedemną podwieczorek i rozpoczął rozmowę z tą oficjalną grzecznością restauracyjną, jaka cechuje prowincjonalnych oberżystów.

— Zapewne łaskawy pan dobrodziej zwiedzał okolicę? Był na wieży?.. To utrudzająca droga. Łaskawy pan nietutejszy?

— Jestem od niedawna współpracownikiem gazety...

Ledwie wymieniłem mu tytuł, człowiek ten w okamgnieniu zmienił oficjalny uśmiech oberżysty na szczery wyraz dobroduszności i zawołał radośnie:

— A toś pan nasz gość kochany! A chodźże pan do sali, bo tam właśnie zebrani są Kaszubi. Powitają pana jako swojego. Wszyscy tu czytają tę gazetkę, w której pan pracuje. Ale proszę wypić kawę — dodał. Widać po panu wielkie znużenie.

— Cóż to za zebranie odbywa się u pana? — spytałem.

— Jest tu w miejscu stowarzyszenie pod wezwaniem św. Józefa i dzisiaj właśnie odbywa się zwykłe niedzielne posiedzenie członków.

— Dziwię się, że władze...

— Zameldowano o posiedzeniu i podano w tłómaczeniu niemieckiem wszystko, o czem się będzie czytało i mówiło. Na razie władze nie dały wyraźnego zakazu. Ale kto wie, co będzie. Tiedemani i Heidemani już ryją...

Posiliwszy się nieco, poprosiłem gospodarza, żeby mnie zapoznał z Kaszubami.

— Ależ najchętniej! — odpowiedział i ruszył przodem, wskazując mi drogę.

Przed progiem sali szepnął:

— A proszę ich nie witać zwykłem „dobry wieczór“.

Kiwnąłem głową potakująco i podziękowałem za uwagę wdzięcznem spojrzeniem.

— Niech będzie pochwalony! — rzekłem, wchodząc do sali.

— Na wieki wieków! — odpowiedziały twarde, przytłumione głosy.

Zauważyłem, że przybiegło w naszą stronę trwożliwe spojrzenie kilkunastu par oczu.

Gospodarz powiedział zebranym, kto jestem i przedstawił mi przewodniczącego. Ten kiwnął tylko głową i rzekł krótko:

— Prosimy na gościa.

Gospodarz przysunął mi krzesło. Usiadłem. Nikt z zebranych nie wyciągnął ręki w moją stronę. Zrobiło mi się dziwnie przykro. Nasz lud w Krakowskiem nie jest taki chłodny i zawsze wita nas grzecznie i z pewną serdecznością. Tutaj miałem takie wrażenie, że jestem intruzem.

Gdyśmy tu z gospodarzem wchodzili, jeden z Kaszubów czytał jakiś ustęp z dużej, starej książki i czytania tego nie przerwał. Teraz słyszałem słowa:

...„Trzeba dać synowi upamiętanie czwartego przykazania, które głosi: „Czcij ojca i matkę swoją“. Święty Paweł powiada: „Wychowujcież synów waszych w karności i nauce Pańskiej“...

I ciągnęła się dalej długa opowieść na temat czwartego przykazania. Gospodarz wyszedł, odwołano go i zostałem sam wśród tej gromadki, która nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi.

Monotonne, niezbyt poprawne czytanie, poczęło mnie już nużyć. Przestałem zważać na słowa i przypatrywałem się za to tem uważniej każdej postaci z osobna.

Siedzieli na ławach, które dwoma rzędami biegły od okna aż ku drzwiom. Przed nimi stał stół, pomalowany na zielono. W pośrodku siedział ten, co właśnie odczytywał opowieść z dużej, starej książki. Zgarbił się przy czytaniu, twarz nachylił nad książką; widziałem tylko jego dużą głowę w nieforemnej, brzydkiej czapce,

grube, zamulone ręce rozłożone po obydwu stronach książki i kolorowy szalik, okręcony dwa razy około szyji.

A te wszystkie postacie, siedzące po jego prawej i lewej stronie, jakże były do siebie podobne! Ten sam wyraz u starszych, jakoteż u młodszych; to samo spojrzenie zimne, przenikliwe, badawcze; ten sam rysunek ust: twardy, zagięty w dół dwiema bruzdami. Wszyscy mieli na sobie ciemne kapoty, dziwaczne i brzydkie czapki i kolorowe szaliki dwa razy około szyji okręcone.

Ani śladu fantazji, ani krzty poezji w odzieży. Wszystkie kolory ciemne, ponure; kształt czapek nieforemny i krój kapoty prosty, surowy. Ciężkie, znojne, ponure życie, z widmem śmierci przed oczyma, oto ich dola. To też z ich pospolitych rysów twarzy przemawiały: upór, pogarda życia, abnegacja i żelazna wytrwałość.

Zamyśliłem się nad dolą tego ludu i zapytywałem w duszy, jaką rolę przeznaczy im los do odegrania w historji naszego narodowego odrodzenia. Z zadumy wyrwał mnie nagle podniesiony głos czytającego, który silnym akcentem podkreślił znany mi z Ewangelji ustęp:

...„Co będzie siał człowiek, to też będzie żął. Albowiem kto sieje na swem ciele, z ciała też żąć będzie skażenie, a kto sieje na duchu, z ducha żąć będzie żywot wieczny"...

Zamknął książkę, a w tej chwili jeden z zebranych podniósł się i stojąc, zaczął opowiadać historję synów marnotrawnych, co nietyle z własnej winy, ile z powodu nienormalnych stosunków krajowych straceni są na zawsze dla ojców swoich i dla matek swych. Mowca zarywał djalektem kaszubskim, ale miejscami mowa jego wzbijała się do tonów szczerej, wielkiej poezji biblijnej.

Ci ludzie uczyli się snać czytać na ewangelji i z tej krynicy czerpali największą wiedzę, prostotę i poezję w wysłowieniu się.

Gdy nastała cisza, przewodniczący rozejrzał się po zebranych i zapytał:

— Kto teraz pragnie głos zabrać?

Na to wezwanie powstał z kąta krępy, niski człowiek i rzekł, jąkając się:

— Chciałbym i ja słówko rzec, jako nietylko dzieci, ale i rodzice temu winni, że czwarte przykazanie uszanowanem nie bywa.

— Udzielam głosu gburowi Borutowskiemu — rzekł przewodniczący i zachęcił krępego człowieka ruchem głowy, aby mówił dalej.

Borutowski odchrząknął i śmielej już mówić począł:

— Dał nam Pan Bóg dzieci, abyśmy je wychowywali w cnocie i rozumie, przedewszystkiem baczenie dając na ich skłonności. A nie samem słowem uczyć je mamy cnót wszelakich i obowiązków, ale przykładem życia naszego. Jeśli chcemy, żeby dziecko było mądre i dobre, sami w rozumie i cnotach wszelakich ćwiczyć się musimy, bo oto jakże nauczycielami mamy być dla dzieci naszych, skoro sami niewiele umieć będziemy. To też ćwiczmy się bracia mili, w cnocie i obowiązku! Niech synowie nie powiedzą nam: oto nam każecie pościć, a sami obżeracie się mięsiwem! Niech synowie nasi widzą, że nie chodzimy do karczmy, aby tam zadowolić łakome podniebienie, ale że gromadzimy się wspólnie ku nauce i ku pociesze, dla wytrwania w naszej świętej wierze i w tej mowie naszej, która nam daną na to, żeby jej bronić i w niej się uczyć.

Służący wszedł do sali i zapalił gaz. Jasność zalała salę, a w tej jasności bardziej jeszcze odczułem ten wstyd, że tak siedzę samotny i milczący, jak obcy, jakby to nie swoi przemawiali.

Skorzystałem z pierwszej chwili milczenia i spytałem nieśmiało:

— Czy nie mógłbym do tych waszych przemówień dorzucić od siebie to, co czuję i o czem teraz myślę?

— Prosimy — odparł przewodniczący dość chłodno.

A za nim kilka jeszcze powtórzyło głosów:

— A niech-że i oni coś powiedzą.

— Gospodarz nie uprzedził mnie o tem, że tylko członkowie mają do tej sali wstęp wolny — rzekłem. — Naszedłem was, a potem jużem i odejść nie mógł, bo chciałem wam wyrazić, jak bardzo mnie się to podobało, co tu słyszałem.

— Wolno każdemu przysłuchiwać się, nikomu tego nie bronimy — rzekł na to przewodniczący. — Słyszelimy, że są oni z tej naszej gazetki, to może i przybyli, żeby o tem coś napisać...

— Nie, tegobym uczynić nie mógł, bobym wam tem zaszkodził.

Zrozumieli mnie, a ten i ów pokiwał na to głową.

— Sprowadziła mnie tu chęć poznania was i uściśnienia waszych spracowanych, poczciwych dłoni — rzekłem znowu.

— Dziękujemy i witamy, jak swojego — odparł już serdecznie przewodniczący i wyciągnął w moją stronę zamuloną prawicę.

Powstałem prędko z miejsca, żeby ją uścisnąć, a w tejże chwili kilkanaście takich dłoni wyciągnęło się ku mnie. Zacząłem je kolejno ściskać, mocno przytem wzruszony; potem rozpowiadałem im o naszym ludzie, co to chodzi w krasnej, kolorowej odzieży i fantazję ma gorącą i taką moc poezji w duszy, że z tej mocy czerpią natchnienie wielcy poeci i malarze nasi. Rozpowiadałem im o dzisiejszej rocznicy kwietniowej; skreśliłem im obraz wielkiego wodza, co po tej pamiętnej bitwie przywdział krasną sukmanę...

Zasłuchali się w moje opowiadanie z tą jakąś rozmodloną ekstazą w oczach, że sam zacząłem czerpać zapał w ich spojrzeniu. Już mnie nie raziła ich brzydota i ta odzież ciemna, nieestetyczna. Oczy im rozbłysły i otworzyły się szeroko, a rumieńce okryły ich ciemną, pofałdowaną skórę na policzkach. Odczuwałem, że dusze ich płoną w tej chwili.

A więc można było grać na ich sercach i rozgrzać je aż do egzaltacji, chociaż z pozoru byli tacy zimni, tak powolni! A więc tutaj to, pod tchnieniem wielkiej myśli, rzuconej jako hasło do samoobrony, dojrzewają ludzie o duszach prostych i silnych tą wielką wiarą, dla której wyznaczono krzyżową drogę ku coraz większemu doskonaleniu się!..

Gdy skończyłem opowiadać, przewodniczący powstał, za jego przykładem powstali wszyscy, a wówczas rzekł on wzruszonym, uroczystym głosem:

— Jeśli powrócą oni kiej tam, do swoich stron, niech powiedzą tym braciom naszym w krasnej odzieży, że my tu nie próżnujemy, ale czynimy, co możem.

Z salonu okrężnego.

Od kilkunastu dni zajęły lokal lwowskiego Tow. sztuk pięknych prace tzw. „Salonu okrężnego“ sztuki polskiej. Nie jest to to samo, co wystawa „Sztuki“, którą otwarto teraz w Krakowie i gdzie zgromadzono dzieła najpierwszych znanych już i uznanych firm artystycznych polskich. Tu tych firm tylko kilka widzimy a przeważnie mamy wystawę pokolenia młodego o nieznanych lub mało znanych nazwiskach, które niedawno zszedłszy z katalogów akademji probują już samoistnie sił swoich. Uwzględniając to, przyznać należy, że wystawa mimo, że poziomem swej wartości zbyt wysoko nie stoi, jest jednak interesującą. To co tam jest to nie wiele, ani pod względem pomysłów, ani wykonania, ale daje sporo pola do rozeznawania się w tem, co z tego kiedyś być może.

Rodzajami reprezentowanymi głównie w salonie okrężnym są portret i pejsaż, choć nie brak i połączenia obu tych krańców w rozmaitego kalibru kombinacjach. Do dzieł z pierwszego rodzaju, wyszłych z pod pędzla artystów powszechnie już znanych należy przedewszystkiem Malczewskiego „Jubileusz“. Głowa ta sama, którą widzieliśmy w obrazach „Nieznana nuta“ z faunem grającym obok na ligawce i „Wspomnienie“ z dziewczynką, tulącą w dłoniach ptaszka, tylko że, podczas kiedy tam była en face lekko pochylona ku przodowi tak, iż z bujnych siwych włosów występował szeroko sklepiony front czaszki, tu głowa wzniesiona jest ku górze profilem. Przez tę zmianę usadowienia głowa wiele straciła na zdolności budzenia sympatji dla samego modela, pomimo, iż sama twarz ma sporo sympa-

tycznego wyrazu. Z widokiem czaszki i jej stosunku do reszty twarzy kojarzy się wyobrażenie o bogactwie i potędze myśli. Tam czoło dominowało z powodu pochylania naprzód nad twarzą, a tu czaszka wydaje się małą, jak gdyby za płytką. Przytem i akcesorja, jako tłómacze chwili są mniej sympatyczne, banalniejsze. Tam chodziło o wewnętrzne motywy tego wyrazu, jaki jest w obrazie, tu kobieta wieńcząca artystę w dzień jubileuszu jest pospolitszą.

Portrety dał następnie p. Augustynowicz. Portret pani K. wyobrażający damę o ciemnej cerze w różowej sukni na tle jakiegoś ogrodu, jest słabszy i jako bryła i jako kolor i jako wyraz. Lepsi znacznie są trzej chłopcy na kanapie. W portrecie tym znać najwięcej ze wszystkich, jakie p. Augustynowicz malował, usiłowanie schwycenia pewnej chwili, któraby dawała wyobrażenie, jakie to są te chłopaki poza tem co widocznem jest dla każdego na pierwszy rzut oka, poza najogólniejszym rysunkiem i kolorytem. Że podobni być muszą to widać od razu po tych indywidualnych rysach, jakie ma każdy z nich specjalnie tylko u siebie, uwarunkowane w dziedzictwie i w tem, co nabył już w krótkiem swojem życiu. Jeden z nich stoi oparty o kanapę pokrytą twardem zielonawem okryciem, drugi siedzi na jej drugim rogu, a trzeci najmłodszy półleżąc opiera się o niego górną połową ciała. Dzięki temu choć wszyscy do portretu pozują, stosunkują się jakoś do siebie chwilowo pod względem psychicznym i to zaznacza się już we wszystkiem. Dzięki temu też jest to nietylko portret lecz i obraz, który ma wartość nawet i dla widzów osobiście niezwiązanych z portretowanymi.

Niema tego ani za grosz w portrecie hr. St. Badeniego malowanym przez p. Pochwalskiego. Jest to nic nie mówiąca postać grubego pana w czarnem polskiem ubraniu, dokładna i plastyczna o ile chodzi o te rysy, których to żaden motyw psychiczny nie zmienia, które z małymi wyjątkami zostałyby w niej gdyby z niej naraz wszelkie życie uciekło. O ileż więcej dokumentów życiowych jest w portretach prof. Kallenbacha i artysty dramatycznego p. Frenkla malowanych przez młodego malarza p. Lentza. W nich widać przynajmniej usiłowanie wydobycia wyrazu, który obaj ci ludzie miewają, kiedy nie pozują do portretu. To już jest przecież jakieś uświadomienie sobie roli rysów w życiu a nietylko — żeby się tak wyrazić — zlepek szczegółów anatomicznych. Może ono być głębsze, lub płytsze jak np. w portrecie poety Staffa, któremu autorka portretu p. Muttermilch czy to z powodu jego pozerstwa czy też dla własnego urojenia dała przesadnie ponurą poetyczną minę. Ale może ono też być i bywa dobrem nawet u niej w pastelowych główkach dzieci, doskonałych i w formie ogólnej i wyrażeniu tego co się z nią dzieje pod wpływem chwilowych warunków otoczenia.

Tylko tak pojmowane portrety mają znaczenie, tem większe, im bardziej występują w nich ślady tej pracy, jaką w życiu odbyło już indywiduum, aby przystosowaniem do siebie danych życiowych warunków stworzyć sobie możliwie najlepsze formy bytu. Tylko takie mogą mieć wartość dokumentów życiowych, z których poznać można i same warunki i to jak z nich indywiduum korzysta i to do czego właściwie dąży, co uważa za formę bytu wyższą a co za niższą itd. Nie należy tego rozumieć jako poświęcania techniki jakimś ideom. Czoła, oczy, nosy i gęby mamy wszyscy, ale jakże różne. Im lepiej one pod względem najdrobniejszych szczegółów zrobione, tem lepsze, tem wszechstronniejsze będą dokumenta znajomości rzeczy. Można sobie co chcieć gadać o „sztuce dla sztuki". Kto to myśli na serjo, ten składa tylko dowód, że chce zgeneralizować jeden moment, w którym pracując nad jakimś tym lub owym materjałem zapomniał zupełnie o reszcie świata, w którym było mu dobrze z tem bo nie podlegał rozdźwiękowi między tem co otrzymywał od świata a co sobie jako swoje prentensje do szczęścia osobistego uroił. Że tak może być to jest dobrze, bo to dowód że można tak dalece wniknąć w pracę nad poznaniem rzeczy, nad daniem jej taką, jaką się ją ma, że zapomina się całkiem o tem, jakąby się ją mieć chciało dla jakichś tam dalszych pożytków. Ale świat mimo to jest i słowa „dobry" „piękny", „mądry" są tylko jego określeniami na rozmaite stopnie pożyteczności ludzi i dzieł ludzkich dla ogólnego rozwoju, nie istniejącego à priori lecz składającego się z większych i mniejszych rozwojów indywidualnych. W ten sposób na swoich najwyższych punktach interes osobisty łączy się z ogólnym a towarzysząca temu przy-

jemność pochodzi stąd, że człowiek w takich chwilach przestaje czuć się narzędziem.

Są to ogólniki, może dlatego jednak, że trudno tu zaraz sypnąć większą masą przykładów, ale dla człowieka patrzącego tak na świat dokumentów dość na każdym kroku i... tam w tym „Salonie okrężnym“. Wspomniano tu tylko ważniejsze portrety, ale jest ich tam jeszcze sporo i co za stopniowanie między nimi. Katalog mówi tylko przeważnie: „Portret mężczyzny lub kobiety, pana K. lub pani L. itd.“ Jeżeli widz przypadkowo nie zna artysty lub modela, a obraz sam nie mówi doń tyle, żeby go zapoznał z organizacją duchową artysty czy też modela, przyjdzie przed obraz zajrzy do katalogu a potem bezradnie powie sobie: „no to dobrze“ i pójdzie dalej. Musi być podniecony interes osobisty widza czy to charakterem figury, czy wykonania, tak, jak był podnieconym w artyście. Im przenikliwszy to umysł tem bardziej szczegółowe będą i podniety. Można więc dostrzedz jak jeden namalowany jest tylko dla tego, że chodziło o danie twarzy tzw. „myślącej“ gdzieindziej popis pewną techniką naśladowaną był całym celem artysty. Im rzetelniejsze, im bardziej uświadomionem jest w obrazie dążenie do tego, żeby jak najlepiej dać to, co tylko artysta wie o portretowanym w chwili malowania, tem lepszem będzie dzieło jego pod wszelkimi względami. Analiza tego w portrecie jest trudniejsza, bo z powodu subtelności materjału ludzkiego grozi niebezpieczeństwo zgubienia się w przesądach i wyobrażeniach o duszy i ciele itp. Łatwiej to będzie w pejsażach, gdzie takie krańce stoją dalej od siebie i gdzie niema już takiego niebezpieczeństwa, żeby je ktoś brał zbyt dosłownie. *St. W.*

Z dymem mojego cygara.

Autor staroświeckiej piosenki pod tytułem powyższym, który śpiewał niegdyś wesoło: „z dymem cygara kończą się wszelkie me utrapienia“, nie przeczuwał z pewnością nieubłaganej walki, jaką wypowiała dziś nauka owym „błękitnym kółeczkom“, które jemu tyle rozkosznych nasuwały marzeń. Dziś utrapieniem prawdziwem dla palaczy stały się głosy ostrzegające, które zatruwają im „niewinną“ przyjemność, ukazując złowrogie jej skutki. Nawet ci, co nie potępiają stanowczo tytoniu, nawołują do ostrożności, do reformy w paleniu.

Jednym z takich właśnie pobłażliwych i wyrozumiałych na słabostki ludzkie jest dr. Leonard Furst, profesor uniwersytetu lipskiego.

Dr. Furst zaznacza najpierw, że tytoń, aż po dni nasze nie był nigdy poddany metodycznym badaniom laboratoryjnym — dalej, że on sam podjął z nim szereg prób i doświadczeń, i że wedle wyników otrzymanych wolno mu dzisiaj utrzymywać, co następuje: Potępienie palenia tytoniu, jako nałogu szkodliwego zdrowiu bezwzględnie, jest w równej mierze nieusprawiedliwione, jak niedorzeczne.

Nieporozumienie wynika głównie ztąd, że identyfikujemy następstwa używania tytoniu z następstwami, jakie wywiera na organizm ludzki nikotyna, pierwiastek wielkiej w istocie szkodliwości, zwłaszcza przy nadużywaniu go, jak to ma miejsce w naszych czasach. Niegdyś palono albo w samotności, albo w kółeczkach bezwarunkowo poufnych, a zawsze w pewnych wyjątkowych godzinach, przy oględności i zachowaniu możliwej elegancji. Na ulicy palenie fajki było wzbronionem w wielkich miastach, jak Londyn i Berlin, gdzie kary za przekroczenie tego zakazu nakładano znaczne. Nie było też dzisiejszych ułatwień pod postacią cygar i papierosów, palenie wymagało więcej zachodu, musiało zatem koniecznie być rzadszem i mniej powszechnem. Dziś nałogowy palacz podkopuje potężnie swój system nerwowy, psuje aparat trawienia przez zbyteczne wchłanianie nikotyny, dochodzi powoli do bezsenności, bólów głowy, perjodycznych ataków

migreny. Tacy niepowściągliwi tracą pamięć stopniowo i przygotowują się systematycznie do paraliżu częściowego lub zupełnego. O tem wszystkiem przekonywa się lekarz, badając przez stetoskop serce człowieka palącego dużo. O płucach jego można także powiedzieć wiele, bo w istocie odmawiają one powoli swoich usług, dopóki ich nie odmówią zupełnie. Zresztą przekonano się o szkodliwości samej nikotyny, dając jedną jej kroplę do zażycia wielkiemu psu najsilniejszej rasy — rasy nowoziemskiej: w ciągu 60 sekund zwierzę żyć przestało.

Doktor Furst przytacza przykłady spotykanych w jego praktyce lekarskiej nadużyć tytoniu, mówi o sposobie traktowania tego rodzaju cierpiących, a w końcu podaje, że w laboratorjum swojem dokonał analizy 96 gatunków tytoniu, pochodzącego z różnych krajów. Maximum nikotyny zawierał jeden gatunek 3,73 prc. na 100 — minimum 1,12 prc. Przekonał się też, że im cygaro jest lepsze, tem mniej zawiera owej substancji trującej.

Cygara wyborowe z tytoniu Portoriko mają procent nikotyny najwyżej 1,20 : 100, podczas gdy użyty na cygara tytoń niemiecki pospolity ma tej trucizny od 2,13 prc. do 2,36 na 100. Wnioski ogólne, jakie wyciąga ze spostrzeżeń swoich dr. Furst są te:

Tytoń szkodliwy jest przedewszystkiem dla tych, którzy palą gatunki nizkie — dalej dla tych, którzy paląc, żują cygara a przez to zatruwają błony jamy ustnej. Ponieważ przy procesie palenia nikotyna gromadzi się z tyłu tej masy tytoniu, która się spala, przeto im dalej posuwa się ten proces, tem pozostała w ustach część cygara, zawiera więcej substancji zatruwającej. Winien też wiedzieć profan, że koniec cygara, ten właśnie, który wydaje woń najmniej przyjemną, zawiera zapas trucizny zdrowiu ludzkiemu najprzeciwniejszej. To samo można powiedzieć o kończącym się papierosie i resztkach tytoniu, dopalającego się na dnie fajki.

Wniosek jedyny, jaki się ztąd wyprowadzić daje, jest, aby nigdy nie palić do końca. Pewnik też zdaniem tego lekarza stanowi, że papieros jest mniej hygienicznym od cygara i fajki, albowiem tlący się papier wydziela tlenek węgla zarówno nieprzyjazny płucom jak oczom. Wystrzegać się radzi pozostawania w pokoju napełnionym dymem tytoniu.

To też nim wejdzie w życie środek zapobiegawczy dra Gerolda, który zaleca poddawanie tytoniu reakcji chemicznej, dla oswobodzenia go od zawartości nikotyny, uczony lipski każe przestrzegać przynajmniej zaleceń następujących:

1) Palić tylko tytonie lekkie.

2) Używać tylko dobrych cygar.

3) Niedopalać nigdy cygar do końca — to samo stosuje się do papierosów.

4) Zagasłego cygara lub papierosa nie zapalać powtórnie.

5) Nie siedzieć w pokoju, który zapełniają chmury dymu.

6) Nie żuć w ustach końca cygara.

7) Używać do cygar i papierosów cygarniczek, w których pożądanem byłoby umieszczenie bawełny czystej.

U siebie w domu palić tylko fajkę na długim cybuchu.

Do zaleceń owych, które tu przytaczamy ku twemu pożytkowi, nałogowy palaczu współczesny, racz stosować się ściśle, bo w przeciwnym razie będziesz kiedyś śpiewał, zamieniając wesołą piosenkę w smutną skargę: „Z dymem mojego cygara uleciało zdrowie moje"...

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Głos kobiet w kwestji kobiecej*. Kraków, 1903. Nakładem Stow. pomocy naukowej dla kobiet imienia J. I. Kraszewskiego. (8-ka, str. VII, 341).

Książka ta jest owocem zbiorowych usiłowań. Powstała ona z odczytów, jakie rok temu urządziło Stowarzyszenie pomocy naukowej dla kobiet w Krakowie. Odczyty te, opracowane pod każdym względem starannie i wyczerpująco, poruszyły niemal wszystkie kwestje i zagadnienia, związane z pracą kobiecą. Do wyświetlenia i obszernego omówienia kwestji kobiecej czas naglił bardzo wobec wzmagającego się z dniem każdym ruchu wśród kobiet, wobec dalej nieustannych sporów

w prasie, traktującej, z nielicznymi wyjątkami, kwestję kobiecą apodoktycznie i, co gorsza, jednostronnie, wobec wreszcie konieczności sformułowania zasadniczych postulatów całej sprawy, jeżeli ona miała przejść z fazy czysto akademickich dyskusji do praktycznego rozwiązania w życiu.

Naturalnie — jeżeli na całą książkę złożyło się prac dwanaście, pisanych przez dziesięć autorek, ani mowy być nie może o pewnej jednolitości w roztrząsaniu całej sprawy. Ale wiąże te wszystkie prace ze sobą ściśle nie tylko wspólność zagadnień, w nich poruszonych, lecz — i to w daleko większym stopniu, — zgodność zasadniczych zapatrywań na istotę kwestji kobiecej.

Niepodobna bodaj najkrócej streścić każdą z tych prac, tutaj zawartych, przekroczyłoby to bowiem ramy, zakreślone temu sprawozdaniu, tak różnorodne zagadnienia poruszono. P. Helena Witkowska mówi „O prawach politycznych kobiet“, p. Dr. M. Lipszyc-Balsigerowa „O stanowisku kobiety wobec prawa cywilizacji“, p. Dr. F. Nossig omawia „Ekonomiczną stronę kwestji kobiecej“, p. M. Dulębianka pisze „O twórczości kobiet“, p. Dr. Z. Daszyńska Golińska „O kobiecie-obywatelce“, p. G. Zapolska „O pięknie w życiu kobiety“, p. P. Reinschmit-Kuczalska traktuje o pewnych epizodach „Z historji ruchu kobiecego“. Wszystkie te prace są sumienne i przekonywująco napisane. Korzystnie jednak wyróżniają się ważnością spraw poruszonych prace: p. M. Turzymy „O kwestji kobiecej“ i „O handlu kobietami“ oraz Izy Moszczeńskiej na temat „Mężczyzna i kobieta“.

A z nich wszystkich okazuje się jasno, jak często dochodził mężczyzna w rozumowaniu do absurdów, gdy szło o zastosowanie sprawiedliwości w odniesieniu do kobiety. Okazało się, że podwójna miara, stosowana do obu płci, sprowadziła fatalne skutki, zapewniając mężczyznom w wielu wypadkach ustawową bezkarność. Brak praw politycznych, brak możności zdobycia odpowiedniego wykształcenia, ograniczenia w pracy zawodowej, nierówne przepisy dotyczące małżeństwa, legalizowana prostytucja, obarczająca brzemieniem hańby wyłącznie tylko kobiety, — wszystko to stoi w rażącej sprzeczności z prostem pojęciem sprawiedliwości. Krzywd, wyrządzonych tem bezprawiem płci drugiej, nikt nie myśli usunąć, boć przecież *beati possidentes*. Ale właśnie wobec tego że co się stało i dzieje jest wynikiem bezprawia, śmiało można twierdzić, że musi runąć, zło bowiem nigdy nie wyda trwałego ani dobrego plonu.

Książkę niniejszą polecamy wszystkim uprzedzodzonym i nieuprzedzonym do pilnego rozważenia. Poruszając mnóstwo spraw pierwszorzędnej wagi, nauczy ona każdego wiele i bez wątpienia przyczyni się do wyjaśnienia postulatów kobiecych. *wi.*

NOTATKI. *Grób Łukasza Górnickiego.* Znany badacz starożytności polskich, p. Zygmunt Gloger zwraca w ostatnim numerze „Tygodnika ilustrowanego“ uwagę na ruiny klasztoru Bernardynów niedaleko Tykocina, w których znajduje się także grób znakomitego prozaika wieku Zygmuntowskiego, Łukasza Górnickiego, autora „Dworzanina“. — Klasztor ten położony w bagnistej okolicy nad Narwią zniesiony został pewnie w połowie ośmnastego wieku przez Branickich, a dziś pozostał po nim zarosły trawą i chwastem pagórek gruzów pokościelnych. Na pagórku tym nie ma ani pomnika ani krzyża żadnego i nikt zgoła nie jest świadom pamiątkowości owego miejsca. Mieszczanie tykocińscy tylko wykopują stamtąd czasami „zdrowe cegły“ z fundamentów kościoła, a w sklepach podziemnych mają zamiar urządzić sobie piwnice na kartofle. Dodać trzeba, że klasztor o którym mowa, założony został jeszcze w r. 1479 przez Gasztolda pana litewskiego, wtenczas, gdy Podlasie należało do Litwy.

Archeologiczne pocztówki. W pogoni za tematami, które by się dały pomieścić na obrazkowych pocztówkach, trafił p. Michalik właściel cukierni w Krakowie na „Skarbniczkę naszej archeologji“ dzieło A. Grabowskiego, zapomniane już po części przez szerszą publiczność. Właściwie p. Michalikowi z natury rzeczy zależało na tem, aby uczynić zakładowi swojemu pewnego rodzaju reklamę przy pomocy wydawnictwa kilku serji kart pocztowych z widokami, ale że wydawnictwo swoje ze sfer przeróżnych dziwactw ilustrowanych skierował na drogę ojczystych pamiątek, więc i reklama zasługuje na życzliwą wzmiankę. Na podstawie tedy wspomnianego dzieła i przy pomocy miejskiego archiwarjusza w Krakowie wydał p. Michalik cztery serje kart pocztowych, przedstawiające 38 wizerunków bram i baszt dawnej fortyfikacji miasta Krakowa. Do każdej serji dołączony jest plan starego Krakowa, który nabywcę jak z jednej strony poinformuje, gdzie stały poszczególne baszty krakowskie, tak znowu ze strony drugiej da mu wyobrażenie o wyglądzie starego Krakowa i odsłoni mu kawał tła dziejowego, na którem rozgrywały się wielkie i drogie polskiemu sercu sprawy.

Pod względem formy nic nie można zarzucić wydawnictwu. Reprodukcje stalorytów wypadły wcale dobrze a jedna rzecz tylko robi trochę dziwne wrażenie. Na każdej pocztówce mianowicie umieszczono napis „naśladownictwo zastrzeżone“ bez bliższego jednak określenia, czy zastrzeżone jest naśladownictwo samego pomysłu wydawania archeologicznych pocztówek, czy też zastrzeżono naśladownictwo wizerunków baszt krakowskich, które przecież sam p. Michalik naśladował z dzieła Grabowskiego!

Z Drukarni Udziałowejwe Lwowie, ul. Lindego 1. 8.